

Z płomieni

Robert Denton III

Tydzień później, na ziemiach Feniksa na wschodzie...

W pół kroku przez bramę, Tsukune nagle spostrzegła, że przekracza próg nie tą nogą. Skrzywiła się, stawiając prawą stopę po drugiej stronie świętego łuku *torii*, a potem dostawiła lewą. Zarówno zgromadzeni samuraje, jak czcigodni przodkowie mogli zobaczyć, jak wpada do rodzinnej świątyni niczym jakiś Lew.

Przekroczyła jednak wejście, a potem szepnęła do idącego obok mężczyzny:

– Znów to zrobiłam.

– Nikt nie zwrócił uwagi – odpowiedział Tadaa. – Nie zatrzymuj się.

Tsukune wsunęła dłonie w rękawy kimona i wyrównała krok ze swoim shugenja. Maszerowali w wyznaczonym miejscu niemego pochodu samurajskich koków, monów rodziny Shiba i białych obi. Droga wiała się w górę po kamiennych stopniach, pod ogniście czerwonymi łukami *torii*. Rześka bryza kołysała łąką fioletowych kwiatów po oby stronach ścieżki, porywając płatki, by zasypać nimi schody. Wiatr przynosił ulgę tej niezwykle ciepłej wiosny, choć oblepiał przy tym święte bramy świątyni żółtym pyłkiem.

Tadaa szeptał w marszu modlitwy, przesuwając w wielkich dłoniach jadeitowe koraliki, po jednym na raz. Był o głowę wyższy od kogokolwiek w procesji, a jego szerokie ramiona w bogatym, złożonym z wielu warstw stroju, górowały nad tłumem niczym samotny sztandar rodziny Isawa. Ukradkowe spojrzenia, którymi go obrzucano, pełne były szacunku. Tsukune nie była pewna, co wyraża wzrok zebranych, gdy pada na nią.

Schody wiodły na kamienny dziedziniec świątyni. Pośrodku wciąż stała tabliczka przodka, ale poza tym uprzątnięto wszystkie ślady wczorajszego pogrzebu. Procesja wlała się na plac i samuraje Shiba błyskawicznie podzielili się na grupki, czekając na swoją kolej, by wejść do ogromnego, dwupiętrowego hondenu. Tsukune połała dłonie i czoło świętą wodą i podała czerpak dalej. Odeszła od gęstniejącego tłumu, by popatrzeć na niedaleką sadzawkę, z której powierzchni świątynne dziewice usuwały właśnie opadłe płatki brzoskwiń. Z idealnie gładkiego lustra stawu



spoglądała na nią licząca siedemnaście wiosen dziewczyna.

– Za bardzo się przejmujesz – powiedział Tadaa, nagle wyrastając nad jej ramieniem.

– Nie mogę popełniać takich błędów – szepnęła. – Nie tu. Jeżeli zrobię coś nie tak podczas dzisiejszej ceremonii...

– Nikt nie zauważy. Nawet na ciebie nie spojrzą, tak będą zajęci patrzeniem sobie nawzajem na ręce. Oczywiście, oprócz pań – dodał po chwili. – One będą patrzyły na mnie.

Kąciki jej ust drgnęły.

– Jestem pewna, że naprawdę w to wierzysz.

W milczeniu obserwowali pracę *miko*, które raz za razem wrzucały sieć do lśniącej jak lustro sadzawki i zamiatały kamienną cembrowinę. Wokół śpiewały słowiki.

– Wiesz – powiedział w końcu Tadaa – jeżeli któreś z nas powinno martwić się dzisiejszą nocą, to raczej ja.

– To byłby pierwszy raz – odpowiedziała Tsukune.

– Otóż to – uśmiechnął się. Wiatr potrząsnął białą-różową koroną drzewa, igrając światłem i porywając burzę kwiatów. Tadaa zamrugnął wesoło na widok wzburzenia sprzątających dziewczyc, wokół których znów opadać zaczęły białe płatki.

– Kiedy wiatr zrywa kwiaty brzoskwini, wydaje się że działa kapryśnie. Ale tak naprawdę wszystko zaplanowano. Że wiatr powieje, że drzewo wyrośnie w tym właśnie miejscu, że upadające płatki utworzą taki wzór... Wszystko dzieje się, jak zaplanowano u początku czasu. Skoro tak jest, to po cóż się martwić?

– Brzmisz fatalistycznie – powiedziała Tsukune.

– Znajduję w tym pocieszenie – postąpił w stronę sadzawki. Po jego ciele sunęły pasy światła, odbitego od powierzchni wody.

– Widziałem pomyślne znaki – wyszeptał. – Mistrzowie mnie rozumieją, przynajmniej większość z nich. Dzisiejsza uroczystość dopełni dzieła. Wszyscy zrozumieją mądrość mego planu, pozwolą mi udać się na ziemie Kraba i dokończyć badania. A ty pojedziesz ze mną. Razem zasiejemy tam ziarno przyszłości.

Przerwał, a potem dodał miękko:

– Naszej przyszłości.

Jego palce otarły się delikatnie o jej dłoń. Policzki odbitej w sadzawce dziewczyny przybrały kolor kwitnących kamelii.

– Czy mnie oczy mylą, czy to Isawa Tadaa-sama zstąpił ze swojej góry?

Na dźwięk nowego głosu Tsukune zeszytniała, a Tadaa wyszczerzył się. Od tłumy na dziedzińcu oderwał się młody, jasno ubrany mężczyzna. Nad białym obi, na piersiach bogatego jedwabnego stroju, nosił ogniste skrzydła oplatające *naginatę*, mon Skrzydła Niebios. Widząc przybysza, Tadaa zaplótł ręce na piersiach.

– Tetsu-san! Zastanawiałem się, czy znajdziesz odwagę by do mnie podejść.

Wybuchnęli śmiechem, a Tsukune poczuła się nagle jak dziecko podglądające dorosłych.

– Muszę ci pogratulować – powiedział Tetsu. – Mistrz Rujo złożył na twoje barki wielki zaszczyt.

– Uczynię wszystko, by mu sprostać – odparł Tadaka. – Rozumiem, że ty też uczestniczysz w ceremonii?

Tetsu skinął głową.

– *Hai*. Dziś zademonstruję nowe *kata* Skrzydła Niebios, które opracował sensei. Chociaż nie mam ani jego zwinności, ani doświadczenia, zrobię wszystko, by oddać honor jego pamięci.

Tsukune odwróciła głowę i przestała słuchać, a głosy obu mężczyzn zlały się w jej uszach z gwarem dziedzińca, rozbrzmiewającym dźwiękiem powitań, radosnych okrzyków na widok dawno nie widzianych przyjaciół i wyrazów uszanowania. Byli tu samuraje starzy, młodzi i tuż po *gempukku* – Tsukune nigdy nie widziała aż tylu Shiba zgromadzonych w jednym miejscu. Powyżej wiatr burzył gobeliny zwisające z pochyłego dachu podwyższenia, gdzie miał się odbyć święty taniec. Wszędzie piętrzyły się podarunki ze świątyń w innych prowincjach, kolorowe niczym samuraje Feniksa na tle szarego kamienia i polerowanego drewna świątyni. Wszystkie poza jednym: prostym, stonowanym obrazem przedstawiającym wodospad i korony sosen u jego stóp. Umieszczona w rogu pionowa pieczęć mówiła, że rzecz pochodzi z ziem Lwa, ale wykończono go w prowincjach Feniksa. W porównaniu z resztą darów kolory były blade, a brak równowagi w ich doborze zdradzał niewielkie doświadczenie malarza.

Obraz od razu spodobał się Tsukune. Umiała się z nim utożsamić.

– Bo w końcu muszę to jakoś wynagrodzić Tsukune-kun – dźwięk jej imienia w ustach Tadaki sprowadził ją na ziemię. Był pewnie jedyną osobą na świecie, która bezkarnie mówiła o niej „-kun”. – Ponieważ tu jestem, nie może ani na chwilę odpocząć od obowiązków *yōjimbō*, jak wszyscy pozostali.

Obrzuciła go wściekłym spojrzeniem, na co uśmiechał się figlarnie.

– Tsukune-san jest bardzo sumienna – dodał Tetsu. Szczerze się do niej uśmiechał. – Dobrze znów cię widzieć, brakowało nam cię podczas festiwalu Kanto. Niektórzy różnie o tym mówili, ale ja wiem dobrze, że gdyby nie pilne obowiązki, byłabyś z nami.

Jak zawsze, gdy nie mogła się wycofać, tylko skinęła głową i odparła:

– Tak jest.

Wewnątrz świątyni Tsukune została wreszcie sama. Z czcią ułożyła miseczkę z kadzidłem na gorących węglach i po chwili uniosły się z niej dwie bliźniacze smugi pachnącego żywicą dymu. Spowiły lakową urnę, zawierającą prochy właśnie zmarłego. Przyczepiono do niej niewielką kartkę i w bursztynowym blasku świec Tsukune odczytała wypisane na niej słowa: *Shiba Ujimitsu, Czempion Feniksa*.

Przesuwała między palcami modlitewne paciorki, jak pokazała jej miko, starając się przy tym wyrzucić z głowy podsłuchaną rozmowę dwóch świętych dziewczec: szeptały, że Czempion Feniksa umarł przed czasem i że ta śmierć bardzo wstrząsnęła jego bratem. Tsukune zamknęła oczy

i pochyliła głowę, szepcząc modlitwę do ducha zmarłego.

W dniu jej ceremonii gempukku, gdy weszła w dorosłość, czempion siedział u szczytu sali. Pamiętała dobrze, że jego krępa sylweta i pospolite rysy kontrastowały z pyszną, przypominającą skrzydła kamizelką *kataginu*, w której wyglądał, jakby miał zerwać się do lotu. Po jego prawicy, na honorowym miejscu zasiadał najlepszy uczeń. Tamtego dnia był nim Shiba Tetsu, ale wyobrażała sobie, że na prawo od czempiona siedziałby jej brat, gdyby tylko żył.

Dochodzący z zewnątrz stukot rozwiał wspomnienie. Tsukune spojrzała w górę na kamienny posąg Shiby, założyciela jej rodziny. Przedstawiono go na klęczkach. Dziś wydawał się większy niż kiedykolwiek wcześniej. Słyszała, jak na zewnątrz kapłanka łaje święte dziewice, przygotowujące dzisiejszą ceremonię.

To tylko jedna noc. Potem mogą z Tadaką wrócić do swego prostego życia. Do wspólnej przyszłości.

Cichutko sięgnęła za białe obi i wyjęła cienką szmatkę, wystrzępioną na brzegach i nie dłuższą niż przedramię. Wciąż widniał na niej blaknący mon dojo jej brata. Zacisnęła szmatkę, jego *tenugui*, w pięści i odetchnęła głęboko. Przez chwilę czuła, że jest przy niej, że zdejmuje *tenugui* z głowy i owija jej zranione kolano. Że znów jest jego małą siostrzyczką.

– Zrobię, co w mojej mocy – wyszeptała. Z góry patrzyła na nią kamienna twarz Shiby.

Na skąpanym w blasku księżyca dziedzińcu przed świątynią Tetsu wznosił właśnie smukłą naginatę, kierując jej ostrze ku gwiazdom. Ruszył płynnym, nieprzerwanym krokiem, a broń kreśliła wokół niego srebrne łuki. Przed oczyma Tsukune dwa ciała, człowiek i jego oręż, stały się jednością, tańcząc śmiertelny taniec światła, stali i nicości. Każdy krok oznaczał śmierć niewidzialnego przeciwnika, każdy miękki jak jedwab ruch – czyjeś ostatnie tchnienie. Tetsu zamarł z jedną stopą zapartą za kolanem, balansując na jednej nodze i sięgając naginatą daleko przed siebie. Był w tamtej chwili pędem bambusa płynącym strumieniem, w którym odbija się niebo. A potem odstawił broń na stojak i przycisnął czoło do ziemi. Gdy wstawał, cały dziedziniec zdawał się wciąż lśnić blaskiem jego doskonałego pokazu. Języki ognia na paleniskach zazdrośnie połykały ćmy, przecinające nocne powietrze. Tetsu wrócił na miejsce, niczym jedyna *sakura* pośród świątynnych klonów.

Nikt inny nie potrafił tak nieskazitelnie wykonać kata Skrzydła Niebios – nawet Ujimitsu, gdy jeszcze żył. Jeżeli zmarły czempion był wciąż na tym świecie, to właśnie dzięki umiejętnościom swego najlepszego ucznia.

Zabrzmiął głuchy dźwięk dzwonu, ogłaszając Godzinę Szczura. Zgromadzeni na dziedzińcu jak jeden mąż odwrócili się w stronę wejścia do świątyni. Malowany panel rozsunał się i wszyscy Shiba pochylili głowy. Mimo to Tsukune dostrzegła kątem oka odbłask światła księżyca na lakowanej lektyce, niesionej w procesji świątynnych dziewic, kapłanów i shugenja.

Na drewnianym podwyższeniu spoczywał miecz. Jego pochwę pieczołowicie wyrzeźbiono we wzór piór, które w blasku palenisk lśniły szkarłatem i ciemnym złotem. Ze swojego miejsca Tsukune widziała każdą perłę osadzoną w wykładanej skórą diabła morskiego rękojeści, nieskazitelne wstęgi jedwabiu owinięte wokół głowicy i rysunek brązowych, wygiętych skrzydeł na tsubie.

Ofushikai. Dziedziczny miecz Feniksa, którym władał każdy Czempion Klanu od zarania Cesarstwa.

Wreszcie świątynię opuściło pięcioro ludzi w bogatych jedwabiach i przypominających skrzydła kataginu. Każdy nosił symbol żywiołu, wpisany w idealny okrąg. Gdy stanęli na dziedzińcu, Tsukune zaczęła wyliczać pięć żywiołów, jak ją przed laty nauczono: Ogień, Woda, Powietrze, Ziemia i Pustka. Pięć elementów świata, a dla każdego jeden Mistrz Żywiołu. Tymczasem Isawa Tadaa zajął swoje miejsce u boku Mistrza Ziemi. W ceremonialnych szatach wyglądał jeszcze bardziej imponująco. Serce Tsukune drgnęło na widok pustego miejsca w cieniu Tadaki, ale zdołała stłumić odruch, by stanąć tuż za nim: tę część ceremonii mogli odprawić tylko wybrańcy *kami*. Jeżeli shugenja czuł się nieswojo bez swojej yōjimbō u boku, nijak się z tym nie zdradził. Górujący wzrostem nad swoim sensei i dwa razy młodszy, był jak wysoka sosna wśród przygiętych starością dębów. W grupie byli też inni uczniowie, po jednym na każdego Mistrza. Teraz jak jeden mąż pochylili głowy i ich wargi zaczęły szeptać modlitwę. Ciche słowa nie docierały do uszu tłumu, przeznaczono je wszak wyłącznie dla Niebios.

Tsukune poczuła na sobie ciężar czyjegoś spojrzenia. Ze swego miejsca na podium patrzył na nią Shiba Sukazu, tymczasowy zarządca Zamku Shiba i dawny *hatamoto* czempiona klanu. A także jego brat. Światło paleniska głęboko żłobiło zmarszczki na jego twarzy i rozpalało srebro na skroniach. Jego białe obi wydawało się płonąć żywym ogniem, podobnie jak zwój, który trzymał w zaciśniętej dłoni. Zawierał ostatnie słowa Shiby Ujimitsu, jego przedśmiertny wiersz.

Zamarła pod jego pozbawionym wyrazu spojrzeniem, a jej policzki zapłonęły poczuciem

winy, że spojrzała mu w oczy. Rozpaczliwie próbowała rozumieć błąd, który ściągnął na nią uwagę. Ale pan zamku wcale nie spiorunował jej wzrokiem, tylko lekko skinął głową i wrócił do śledzenia ceremonii. Zrobiła to samo, a od poczucia ulgi aż zakręciło się jej w głowie.

Pierwsza wystąpiła uczennica Mistrza Powietrza w otoczeniu pięciu dziewcz. Dziedziniec wypełniło rytmiczne bębnienie *taiko*, a każde grzmące uderzenie brzmiało echem w sercu Tsukune. Miko zawirowały w skomplikowanym tańcu,



a shugenja wyjęła niewielką konchę i przycisnęła ją do ust. Gdy przenikliwy dźwięk zawibrował w powietrzu, wiatr potrząsnął koronami drzew, zrzucając deszcz białych płatków brzoskwini. Kami przyjęły ofiarę.

Przyszła kolej Tadaki. Zwalisty i bogato ubrany, górował nad dziedzińcem. Tańczące dziewice zmieniły rytm, ich ruchy stały się cięższe i dostojniejsze. Tadaki uniósł porcelanową misę, pokazując zebranym umieszczoną w niej świeżą darń. Cicho mrucząc, przerzucał w drugiej dłoni modlitewne koraliki. Najpierw powoli, a potem coraz szybciej, darń wzrosła i zakwitła białymi kwiatami.

Tsukune skrzywiła się, gdy wokół rozległy się podniecone szepty. Prawie natychmiast ustały, ale mimo to niemal słyszała myśli starszyny, oburzonej zachowaniem młodszych, pozbawionych opanowania samurajów.

Tymczasem wystąpił adept Ognia i święty taniec nabrał tępa, kroki stały się szybkie, a obroty zwinne. Młodzieniec gwałtownie wypchnął w przód rękę dzierżącą świecę, zamknął oczy i zaczął szeptać, a ogień na paleniskach zaczął chwiać się i rosnać w rytm jego modlitwy. Zgromadzeni wyciągali szyje, wpatrując się w knot.

Młody człowiek zamarł i otworzył oczy. Nic się nie stało. Zamrugął, zdumiony. I nagle dał się słyszeć gwałtowny krzyk, gdy jeden z okalających dziedziniec gobelinów stanął w płomieniach.

Zgromadzenie zafalowało, odwracając się w stronę nagłego rozbłysku. Płomienie chciwie pożerały pradawną tkaninę, a wiatr niósł je, rzucając krwawe refleksy na pochyły dach świątyni.

Nagle tłum zaczął napierać na nią ze wszystkich stron. Nocne powietrze przecięły krzyki, słudzy zerwali się z miejsc i rzucili do ucieczki. Choć twarz Shibby Sukazu nie zmieniła wyrazu, wstał i zaczął wydawać rozkazy. Zgromadzeni samuraje ruszyli do akcji, ewakuując ludzi z dziedzińca i biegnąc po wodę. Niektórzy ruszyli w stronę świątyni i Tsukune zdumiona zrozumiała, że jest wśród nich.

Ogień chciwie przegryzał warstwę lakieru, by dostać się do drzemiącego pod nim, wiekowego drewna. Już dotknął podłogi i rozlewał się jak farba.

Mistrzowie Żywiołów stali nieruchomo obok płonącej świątyni, a ich jasno oświetlone twarze śledziły pożar ze spokojną ciekawością, jakby czytali zwój albo oglądali obraz. Dwóch rozmawiało cicho, ale Tsukune nie słyszała słów. Rozżarzona dachówka z trzaskiem rozbiła się o ziemię tuż obok Mistrza Wody, ale ten nawet nie drgnął. Tadaki został wśród nich, choć pozostali uczniowie znikli z dziedzińca – jego potężna sylwetka czerniała na tle płomieni.

Tsukune podbiegła do niego, z trudem łapiąc oddech. Chwyciła go za ramię.

– Tadaki–sama! Tu jest niebezpiecznie! Chodź ze mną!

– Nie! – niespodziewane warknięcie Tadaki zmroziło jej krew w żyłach. Odwrócił się. Jego oczy płonęły, a kontur wydawał się lśnić pomarańczowym blaskiem.

– Zapomnij o mnie! Wewnętrzna kaplica! Biblioteka!

Rodowody, modlitwy, mapy nieba, inkantacje. Bezcenna wiedza, której nie da się odtworzyć. Ktoś minął ją biegiem. Odwróciła się do świątyni i zobaczyła Shibę Tetsu w rozwianych pysznych



jedwabiach. Skoczył w ogarniające budynek płomienie z twarzą człowieka pogodzonego ze sobą. A potem zniknął, pochłonięty przez światło.

Ruszyła za nim. Serce chciało wskoczyć jej z piersi, z piekących oczu ciekły łzy, ale parła naprzód, do wewnętrznej kaplicy, gdzie musiał pobiec Tetsu. Wszystko lśniło żółtym światłem lub tonęło w kłębach czarnego dymu. Nie mogła iść dalej.

Odwróciła się, lecz nie zobaczyła wyjścia. Na drodze, którą właśnie przeszła, szalał ogień. Czemu rozprzestrzenia się tak szybko? Przypomniła sobie o tenugui brata, wyjęła je zza obi i przycisnęła do twarzy. Wdychając powietrze przez materiał, kucnęła, zastanawiając się, co robić.

Wtedy przez ryk ognia przedarł się krzyk:

– Pomocy! Pomóżcie nam!

Dobiegał z bocznego pomieszczenia, gdzie mieściła się administracja świątyni. W środku Tsukune znalazła dwóch służących i jedną świętą dziewczinę. Jeden ze sług leżał, przygnieciony tłącym się regałem, drugi wzywał ratunku. Miko stała nieruchomo, wpatrzona w kaskadę płomieni pożerającą ścianę.

Tsukune z całej siły uderzyła ramieniem w przewrócony regał. Zachwiał się, ale nie przesunął. Płótno spadło jej z twarzy, ale dziewczina otrząsnęła się i ruszyła na pomoc. Razem zdołały przesunąć mebel, ale Tsukune nie musiała nawet patrzeć na zmiażdżoną nogę służącego, by wiedzieć, że nie zdoła pójść o własnych siłach.

Nad ich głowami płynęła rzeka dymu. Tsukune bezskutecznie szukała wyjścia, ale przed nią wznosiła się ogarnięta płomieniem ściana: drewniana rama, gruby papier i cienki tynk.

– Tędy! – krzyknęła i z całej siły rzuciła się na przeszkodę.

Na policzkach poczuła żar i nagle otoczyły ją płomienie. Ale papierowa ściana pękła, a za wybitym otworem ukazał się ogród świątyni. Upadła w krzew, przetoczyła się i legła twarzą do ziemi. Za nią miko wyprowadzała z pożaru kuśtykającego sługę. Tsukune zaczęła się podnosić, ale zamarła. Leżała u stóp mężczyzny w bogatych szatach rytualnych, a jego długi cień drżał niczym ogromne skrzydła. Na piersi nosił dumnie mon Mistrza Żywiołu Ognia. Wpatrywał się w płomienie, zaciskając mocno dłonie na długim sznurze bursztynowych paciorków modlitewnych. Na twarzy miał wyraz kamiennej powagi, ale ton płynących z ust modlitw był niemal błagalny. Skręcił nadgarstki i sznur pękł z głośnym trzaskiem, a koraliki rozsypały się wokół.



W chwili, gdy ostatni dotknął ziemi, zgasł też ostatni płomień pożerający świątynię. Mistrz zamknął oczy i wyszeptał:

– Dziękuję wam, o kami, za przyjęcie daru.

Tsukune śledziła wzrokiem smugi dymu, unoszące się z rozsypanych tuż przed jej twarzą paciorków.

Potem wiele rzeczy zaczęło dziać się na raz, gdy samuraje Klanu Feniksa zaczęli oceniać skalę zniszczeń. Honden przetrwał w znacznie lepszym stanie, niż się wydawało. Dzięki zdecydowanym poleceniom Shibby Sukazu i pomocy Mistrza Ognia, płomienie nie dosięgły ani wewnętrznej kaplicy, ani najświętszego ze świątyni. Choć spłonęła jedna trzecia konstrukcji zewnętrznej, cała budowla się nie zawaliła. Nie przepadło też nic cennego, jeżeli nie liczyć przerwanej liny *shimenawa*, którą opuściły duchy. Ale dziewice świątynne już posyłały papierowe lampiony w dół szemrzącego strumienia, by wskazać kami drogę powrotną do świątyni, gdzie przygotowywano nową świętą linę. Kapłani składali ofiary duchom, które pozostały na miejscu, by opłakany stan budowli nie wzbudził ich gniewu. Z czasem rany się zblizniały.

Ze świątyni wyłoniło się kilku okrytych popiołem Shiba, niosąc ocalone relikty i dokumenty. Tsukune spojrzała na własne odbicie w stawie i stwierdziła, że wcale nie wygląda lepiej. Na twarzy miała smugi sadzy, jej ciemnobrązowe włosy były czarne i sztywne, najlepsze kimono pełne dziur i plam. Zmarszczyła brew i wytrząsnęła popiół z rękawów.

Potem spojrzała na otwór, który wybiła w ścianie świątyni. Wewnątrz czerniało pogorzelisko, a nad nim wirowały płaty popiołu i kłęby dymu. Poszukała wzrokiem miejsca, w którym upuściła tenugui brata. Teraz było jak on – zaledwie kupką popiołu. Nic jej po nim nie zostało na świecie.

– Tsukune!

Wołał ją Tetsu. Stał przed Mistrzami Żywiołów, trzymając sosnową urnę z prochami Ujimitsu, którą wyniósł z płomieni. Jego nieskazitelne kimono przecinał sznur, podtrzymujący torbę pełną pradawnych zwojów. Podeszedł do niej z wyrazem troski na twarzy. Chociaż pachniał dymem, nie znaczyła go najmniejsza plamka sadzy.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Nie powinnaś ot tak, wbiegać do płonących budynków, Tsukune-san!

Patrzyła na niego w milczeniu, obsypana popiołem i ogorzała od ognia, jak ptak z przypalonymi skrzydłami.

– Chodź z nami – szepnął Mistrz Ognia, podchodząc do Tadaki. – Musisz to usłyszeć.

Tadaka podeszedł do kręgu Mistrzów Żywiołów i stanął obok swojego sensei, Mistrza Ziemi Isawa Rujo, ignorując jego karcący wzrok.

– Twój uczeń przyjął pełną odpowiedzialność, Tsuke-sama – powiedział Rujo.

Mars na czole Mistrza Ognia pogłębił się.

– Szkoda, że muszę go odprawić. Był bardzo obiecujący.

– Nie można tego uniknąć – odparł Rujo. – Musimy zachować twarz i nie dopuścić do wybuchu paniki. Postępuje szlachetnie, zachowując się jak należy.

– Mimo to... – mruknął Mistrz Ognia.

– Jest coraz... gorzej – wyszeptał chorowity Mistrz Powietrza. Ciężko opierał się na zdobionej jadem lasce i z trudem łapał powietrze, cedząc słowa. Pozostali czekali.

– Nie możemy... czekać aż nierównowaga... sama zniknie. Musimy... zaangażować się... wprost.

Mistrzynie Wody przytaknęła. Jej twarz ocieniały dwie kaskady czarnych włosów, spływające spod stożkowego kapelusza.

– Najmniejszy kamyk wywołuje fale. Pozostałe klany zaczną zadawać pytania. Lepiej, żeby Feniks wiedział, co odpowiedzieć.

– Być może mądrzej byłoby odłożyć na razie ceremonię – zaproponował Rujo. – Zniszczenie świątyni to zły omen.

Kolejno odwrócili się do Mistrza Pustki. Isawa Ujina zdążył już narysować koło na ziemi, a teraz sięgnął do jednej z licznych sakiewek i wyjął garść polerowanych kamieni. Wszyscy zamarli, gdy rzucił je do kręgu. Potem kucnął i jął uważnie obserwować układ spod zmarszczonych brwi. Tadaka postąpił do przodu.

– Ojczy?

– Ceremonię trzeba kontynuować – Ujina uniósł wzrok. – Klan Feniksa musi mieć czempiona.

Tsukune zajęła miejsce w kręgu Shiba. Po jej prawej stronie stał Tetsu, z szacunkiem spuszczać wzrok. Dołączył do nich nawet Shiba Sukazu. Stali tak razem, ramię przy ramieniu, otaczając Mistrza Pustki, którego dłoń spoczywała na dziedzicznym mieczu Feniksa.

– Ofushikai – powiedział Ujina – pokornie błagamy, wskaż nam swego wybrańca.

Następnie zwrócił się do stojącego wprost przed nim mężczyzny, wyciągnął rękę i podał mu miecz. Shiba Sukazu podjął broń z pochyloną kornie głową i trzymał ją przez chwilę. Ujina powstał. Ze swego miejsca po drugiej stronie kręgu Tsukune widziała, jak twarz Sukazu rozjaśnia uśmiech ulgi.

Odwrócił się do Shiby po swojej prawej stronie i podał mu miecz. Samuraj wziął go, trzymał przez chwilę, a gdy nic się nie stało, skłonił głowę i oddał ostrze wojownikowi po swojej prawicy.



Pod czujnym okiem Mistrza Pustki broń wędrowała od jednego Shiby do drugiego, powoli i z czcią.

Tsukune pochwyciła zaniepokojone spojrzenie Tetsu. Posłał jej uśmiech dla dodania otuchy. Odwzajemniła go. W świetle księżyca mon Skrzydła Niebios i osobisty znak Shiby Ujimitsu na jego nieskazitelnym kimonie wydawały się lśnić własnym blaskiem.

To będziesz ty. Tetsu-sama, pomyślała. Tak być powinno.

Pokłoniła się, gdy miecz dotarł do niej. Był lżejszy niż ostrze jej matki, jakby pochwa była pusta. Przez mgnienie obserwowała grę światła księżyca na krawędziach brązowej gardy i perłach zdobiących rękojeść. Pochwę wyrzeźbiono z jednego kawałka drewna i wyglądała, jakby prawdziwe pióra skamieniały wokół ostrza. Nie miała najmniejszej skazy. Wprawdzie pradawny miecz nie posiadał krzywizny współczesnej katany i innych udoskonaleń wprowadzonych przez pokolenia kowali, ale wydawał się ostry i mocny jak w dniu, gdy go wykuto. To jedyna okazja, gdy wolno jej go dotknąć. Wstrzymała oddech, jakby chciała przedłużyć tę chwilę.

Odwróciła się do Tetsu. To wielki honor, przekazywać ci Ofushikai, Tetsu-sama. Wtem, miecz sam wysunął się z pochwy, odsłaniając idealne ostrze.

Isawa Ujina sapnął. Tsukune zamarła. Cały krąg zaczął wymieniać szepty i zdziwione spojrzenia. Po drugiej stronie kręgu Sukazu uśmiechał się szeroko. Spojrzała na Tetsu – czy miał wielkie jak spodki. Podobnie jak ona sama.

– Wybór się dokonał! – oznajmił Ujina. Otworzyła usta, ale nie zdołała dobyć głosu. Mistrz spojrzał jej w oczy, uśmiechnął się i wziął w ramiona.

– Oto Shiba Tsukune, Czempion Klanu Feniksa!

W ciszy, która zaległa nad dziedzińcem nie brzmiał nawet nocny chór żab. Tsukune chciała ją zmacić, krzyknąć, że nastąpiła pomyłka. Nie mogła zostać wybrana. To niemożliwe. Ale jak mogła zaprzeczyć słowom Mistrza Pustki? A więc, zamiast tego, pochyliła głowę i wykrztusiła wreszcie:

– Tak jest.

Potem uklękła przed Isawą i zaprzysięgła służbę.

Tsukune była sama w wewnętrznej kaplicy. Księżyc posyłał długie promienie przez dziury wypalone w suficie. Jej uskrzydloną kataginu wymalowano w srebrne pióra. Za obi miała mapę nowego domu, Zamku Shiba i otaczających go ziem. Rozważała, czy nie zapalić kadzidła przed posągami Shiby oraz w kapliczce Ujimitsu, ale zemdliło ją na samą myśl. Świątynia i teraz pachniała palonym jesionem i cyprysem. Gdyby był tu Tadaka, pozwoliłaby mu zapalić kadzidło, by nie obrażać duchów. Ale Tadaki nie było. A jutro wróci do swoich spraw, porzucając ją na zawsze.

Przeniosła wzrok na Ofushikai. Ważyła w dłoni ciężar miecza i śledziła ryty na pochwie. Jej niezgrane dłonie na idealnym ostrzu wydały się twarde, pospolite i brudne. Nie przypominały

eleganckich dłoni Shiby Tetsu, którym nigdy nie było dane choćby dotknąć miecza. I teraz nigdy go nie ujmą.

Przez moment, gdy została wybrana, jego oczy pociemniały i nie zdołał ukryć złości. Czy kiedy ostrze wysunęło się z pochwy, próbowało sięgnąć do niego?

Odetchnęła szybko, raz i drugi. Cały łańcuch oddechów. Ucisk w piersi, jakby zimne ręce ścisnęły jej serce. Tonęła. Płonęła. Spadała w górę, przez otwór wypalony w suficie. Chmury przysłoniły księżyc. Myśli wylewały się z jej głowy jak z przepełnionej czarki. *To pomyłka. Nie powinnam tu być. Popelniono błąd. Straszliwy błąd.*

Poczuła na ramionach delikatny dotyk i otworzyła oczy. Wciąż była w świątyni. Ciągle miała pod stopami podłogę, a przez sufit sączyło się światło księżyca. Wokół krążyły świetliki. Ich światelka błyskały w nocnym powietrzu, jakby robaczki pojawiały się i znikwały z tego świata. Na zewnątrz wiatr szumiał w koronach drzew. Wewnątrz powietrze było nieruchome.

Tsukune wciąż czuła ucisk na ramionach, jakby lekki dotyk, choć nic tam nie było. Zaciśnęła palce na rękojeści Ofushikai i wyciągnęła miecz do połowy długości. W lustrzanej powierzchni klingi odbijała się twarz ledwie siedemnastoletniej dziewczyny.

A za nią oblicze Ujimitsu. Znikły z niego zmarszczki wywołane troską, przepadła też jego wspaniała kataginu. Nosił prostą szatę i delikatnie się uśmiechał, opierając dłoń na jej ramieniu. A za nim stał szereg dziesiątków wojowników Feniksa. Pomieszczenie wypełniał tłum ludzi starych i młodych, kobiet i mężczyzn, niektórych ubranych współcześnie, innych w strojach sprzed wieków. Ich ciała lśniły delikatnie w świetle księżyca i nie rzucały cienia. Całe pokolenia Czempionów Feniksa patrzyły na nią z tym samym łagodnym uśmiechem.

W głowie zabrzmiał jej głos, cudzy, ale dziwnie znajomy. *Nigdy nie będziesz sama, Tsukune.*

Wsunęła miecz do pochwy i wypuściła wstrzymany oddech.

– Zrobię, co w mojej mocy – wyszeptała. Z góry uśmiechała się do niej kamienna twarz Shiby.





Shiba Tsukune, zdeterminowana Czempion Klanu Feniksa

